Malcolm Jameson

Morderstwo w świecie czasu

(Murder in the Time World)

Amazing Stories, August 1940
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I

Karl Tarig obrzucił ostrożnym spojrzeniem doktora Claude'a Morrisona. Naukowiec siedział tyłem do niego, zagłębiony w swoich bezcennych formułach. Tarig nachylił się i, nieustannie obserwując go czujnym wzrokiem, wyciągnął wtyczkę przewodu zasilania z gniazda Akceleratora D-4. Potem wyprostował się.

— Posłuchaj, Claude, czy celowo zostawiłeś ten kabel rozłączony?

Doktor Morrison rozejrzał się dokoła, wyraźnie zirytowany.

— Co? Oczywiście, że nie! — Morrison przeszedł przez laboratorium. — To kolejny przykład twojej niezdarności, Karl — zauważył kwaśno, spoglądając na grubo izolowany przewód. — Jeszcze dziś rano, przeprowadzałem testy na tej maszynie.

Tarig poruszył się, jakby chciał podnieść przewód.

— Nie, nie — sprzeciwił się Morrison. — Następnym razem, wysadzisz główną lampę. Nie mogę na to pozwolić. Jej włókna zawierają wszystkie dostępne na świecie zasoby faradu. Ponowne zebranie takiej ilości, pochłonęłoby kolejne dziesięć lat.

Zręcznymi palcami, doktor Morrison zresetował przełączniki i naprawił podłączenie. Tarig przyglądał się temu ponuro.

— Co z temperaturą detononu? — ostro spytał go Morrison. Machiny czasu były jego hobby, materiały wybuchowe, pracą.

— Jest w porządku; dopiero co sprawdzałem.

Zachowanie Tariga było niedbale obojętne, tak jakby go to wszystko nie obchodziło.

Morrison parsknął i pośpiesznie ruszył przejściem między stołami laboratoryjnymi o pokrytych ołowiem blatach, do miejsca gdzie stał duży parujący zbiornik z działającym mieszadłem. Sprawdził dopływ kwasu siarkowego, prędkość obrotu płatów mieszających potężny środek wybuchowy, oraz ustawienie reostatu na urządzeniu chłodzącym. Dokonał kilku korekt, a następnie odwrócił się do Tariga.

— Próbowałem zwrócić twoją uwagę, Karl, na niebezpieczeństwo pracy z tymi materiałami super-wybuchowymi. To właśnie dlatego to laboratorium zostało usytuowane tutaj, na wzgórzach, czterdzieści mil od zewsząd. Kwas wytwarza ciepło, a ciepło na tym etapie spowoduje, że ten materiał wybuchnie. Jeżeli nie będzie się go chłodzić – no cóż, buuum! – wylecimy w powietrze.

— Tak, przepraszam — wymamrotał Tarig. Nie był do końca gotów na swoją wielką chwilę. Na razie nie. Musiał jeszcze się czegoś dowiedzieć; to właśnie dlatego przerwał podłączenie.

— Zastanawiam się również coraz bardziej, Karl — mówił dalej Morrison, ponieważ uznał, że dostatecznie długo już zachowywał milczenie, — czy sprowadzenie cię tutaj, było takim dobrym pomysłem. Pokazujesz się tylko wtedy, kiedy ci się podoba; a nawet jeśli przyjdziesz, nie mogę polegać, że zrobisz to, co ci kazałem. Ponadto nie podoba mi się,

że kręcisz się koło córki Warringa. Ona jest niewinną małą istotką i nie ma najmniejszego pojęcia o twojej przeszłości.

— Chciałeś powiedzieć, o moim pechu — odparł rozwścieczony Tarig.

— To że przepiłeś i przegrałeś fortunę twojego ojca, nie było żadnym pechem. A te oskarżenia o sprzeniewierzenie, które wniesiono przeciwko tobie w Fairfield, także trudno do tego zaliczyć…

— To były oszczerstwa! — warknął Tarig.

— Uwierzyłem twym słowom, że to oszczerstwa — spokojnie odparł Morrison. — Ale patrząc, jak różne rzeczy, tu dookoła, dziwnie znikają – no cóż, już nie jestem tego taki pewien. Zaczynam żałować, że cię zatrudniłem – że dałem ci szansę, kiedy nikt inny nie chciał tego zrobić.

Tarig tylko groźnie popatrzył. Wiedział, że mógłby gołymi rękoma przełamać Morrisona na pół, ale miał lepszy plan. Potrzebował jeszcze tylko jednego drobnego szczegółu, który mógł otrzymać tylko od samego Morrisona. Musiał jeszcze trochę poudawać.

— Bardzo mi przykro, Claude — powiedział z wyrazem łagodnej uległości na twarzy. — Nie zdawałem sobie sprawy… Postaram się pracować lepiej.

Morrison spojrzał na niego ostro, ale zastanowił się. Czy nie był czasami niesprawiedliwy? Być może Karl Tarig był tylko głupi i leniwy. Nie można było go za to winić.

— Zobaczymy — oznajmił i poszedł z powrotem do swego biurka.

— **C**hciałbym dowiedzieć się trochę więcej o tej maszynie — oznajmił Karl Tarig, kiedy podeszli do Akceleratora.

Morrison zatrzymał się i ponownie zmierzył go wzrokiem. Tarig pomagał mu w eksperymentach wykonywanych przy pomocy mniejszego modelu i z pewnością, powinien rozumieć działanie większej maszyny, o pełnych wymiarach, już od chwili jej zbudowania. Obie działały na identycznej zasadzie. Różnica polegała tylko na tym, że nowy model mógł pomieścić człowieka.

— Och, dobrze wiem, że to jest swego rodzaju machina czasu — pośpiesznie wyjaśnił Tarig, poprawnie odczytując wyraz zaintrygowanej dezaprobaty na twarzy naukowca. — Widziałem, jak do tego mniejszego modelu wsadziłeś klatkę z kanarkami, a one po chwili zniknęły, aby pojawić się ponownie, trzy dni później, ciągle śpiewając. Pomagałem też ci z kotem – tym razem wysłałeś go w przyszłość o miesiąc. Ale dlaczego nie zniknęła również sama maszyna? Wszystkie machiny czasu, o których słyszałem, podróżowały razem ze swoim wynalazcą, jak samochód.

— To dobre pytanie — odparł Morrison, nieco zmiękczony — i postaram ci się na nie odpowiedzieć.

Dwóch tak bardzo różniących się od siebie ludzi, stało przed dziwnym urządzeniem, zajmującym wysoką na jeden stopień platformę, w narożniku, tworzonym przez dwie zewnętrzne kamienne ściany niskiego budynku laboratorium. Nikt nawet by nie pomyślał, że ci dwaj mogą być kuzynami. Tarig był wysoki, mocno zbudowany, miał niezbyt rozgarniętą

twarz o wydatnej szczęce, podczas gdy Morrison był dużo niższy i szczuplejszy, cechowały go wyraziste rysy twarzy i bystre, inteligentne oczy.

Morrison wskazał ręką na owalną skorupę z prześwitującego materiału, wiszącą jak kaptur nad pojedynczym fotelem zamocowanym na platformie. Pomimo swego dziwacznego, podobnego do muszli kształtu, była lampa próżniowa, wzmocniona zielonkawymi włóknami, z których wychodziły zakończenia labiryntu skłębionych przewodów, prowadzących do zestawu urządzeń sterujących, do których osoba siedząca w maszynie, mogła łatwo sięgnąć. Przewód z głównej dźwigni sterowniczej na pulpicie, przechodził do stojącego obok panelu z przełącznikami, za którym stała jeszcze jedna szafa pełna lamp.

— Pole siłowe tej lampy faradowej — wyjaśnił Morrison, — generuje efekt hamowania ruchów wszystkich znajdujących się w nim cząsteczek. Umieszczony w nim obiekt, z chwilą włączenia prądu, przestaje istnieć. Wyhamowanie nie jest permanentne, ale proporcjonalne do czasu wystawienia na działanie pola. Wcześniej, czy później, efekt wygaśnie i obiekt wraca do swego poprzedniego stanu. To nie jest, dokładnie rzecz biorąc, podróż w czasie – raczej chodzi tu o wystrzelenie w czasie.

— Jak strzał z armaty — zauważył Tarig.

— Dokładnie tak! — zawołał Morrison, zdumiony i zadowolony, że Tarig go tak dobrze zrozumiał. Zaczynał czuć, że nieco zbyt pośpiesznie go ocenił. — I, tak jak armata, machina czasu nie podąża za swoim pociskiem. Dlatego właśnie nazwałem ją akceleratorem, a nie machiną czasu, chociaż nawet i ta nazwa jest nieco myląca. Akcelerator powoduje tylko, że rzeczy przestają chwilowo istnieć, ze wszystkich praktycznych punktów widzenia. Zanim ponownie się pojawią, mija czas, powodując efekt ich „wystrzelenia”. Umieszczony w niej obiekt postrzega to, jako podróż w czasie. Tak naprawdę, obiekt ten, czeka na czas, który go ponownie pochwyci.

— Rozumiem — powiedział Karl Tarig. Prawdę mówiąc, tyle to wiedział już wcześniej. To, czego chciał się dowiedzieć – musiał się dowiedzieć – była skala, na jaką ustawiona była maszyna.

— Nie wiem tylko — spytał — jak długo trzeba być wystawionym na pole, aby znaleźć się odpowiednio daleko w przyszłości?

— Och — odparł Morrison, — podziałki na pulpicie? No cóż, nie miałem jeszcze czasu, aby je dokładnie skalibrować. Działa to według jakiejś krzywej. Im dłużej funkcjonuje machina, tym dalej wystrzeliwany jest obiekt. Na przykład, pierwsze kilka sekund, powoduje zniknięcie na czas około jednej godziny na sekundę. Kiedy maszyna się rozgrzeje i pole jest bardziej skoncentrowane, szacuję, że każda godzina wystawienia na nie, wystrzeliwuje obiekt kolejne dziesięć lat w przyszłość.

— Rozumiem — stwierdził nieobecnym głosem Karl Tarig. Jego oczy błądziły po oknach. Starego Higginsa, dozorcy, nie było nigdzie widać. Musiał pójść już do domu, ponieważ słońce chyliło się ku zachodowi. Ellen Warren miała przyjść koło siódmej, z jedzeniem na noc, dla niego i dla Morrisona, przygotowanym przez jej owdowiałą matkę w ich małym domku, za wzgórzem. Teraz musiało być nieco po szóstej.

— Mam nadzieję, że pewnego dnia — mówił doktor Morrison, — osobiście wykonam w maszynie podróż testową dłuższą, niż parę krótkich, które zrobiłem ostatnio. Chodzi mi o naprawdę długą wyprawę – taką na kilka lat do przodu. Gdybym tylko miał możliwość wyrwania się z tej rutyny wytwarzania nowych materiałów wybuchowych, tak bym mógł zająć się trochę moim hobby…

— **M**asz teraz na to szansę, stary!

Gwałtowną zmianę w sposobie zachowania Karla, można by wręcz określić jako wybuchową, pod względem jej nagłości. Doktor Morrison odwrócił się szybko w stronę kuzyna, stając przed twarzą wykręconą morderczą furią. Widać było na niej zawiść i zazdrość, ale z oczu przebijała czysta satysfakcja i napawanie się – żądza okrucieństwa, dla samego okrucieństwa.

Dwie owłosione łapy, zacisnęły się mocno na jego gardle, dusząc, dusząc. Przez spowijającą wszystko czerwoną mgłę, Morrison widział zwieszoną nad nim dyszącą twarz o niegodziwym spojrzeniu. Próbował walczyć, wybełkotał coś niezrozumiale, kiedy silniejszy mężczyzna przesunął swój uchwyt. Potem, z purpurową twarzą, zapadł w nieświadomość.

Tarig zwolnił swój uchwyt i pozwolił, by bezwładne ciało naukowca, upadło na podłogę. Spokojnie popatrzył na zwiniętą w kłębek postać. Do tej pory powstrzymywał się przed morderstwem, ponieważ był tchórzem – bał się. Bał się prawa – stryczka lub krzesła elektrycznego. Ale teraz było inaczej. Prawo nie mogło go dotknąć. Do diabła z prawem! Wymyślił sposób dokonania zbrodni doskonałej. Nie mogło być żadnych niebezpiecznych dla niego konsekwencji. Nie można powiesić człowieka za morderstwo, bez ciała – corpus delicti. Po raz pierwszy w historii kryminalistyki, morderca miał do swej dyspozycji absolutnie pewny środek na pozbycie się ciała.

— Chciał spróbować dłuższej wyprawy? — wymamrotał Tarig. — No to, damy mu cały wiek. Wsadzimy go w ten soczek na całą noc.

Wyciągnął ręce i złapał Morrisona za nadgarstki, mając zamiar wciągnąć naukowca do Akceleratora. Przestawi dźwignię do końca – dziesięć do dwunastu godzin, a potem naciśnie przełącznik. Koniec z Morrisonem. Koniec z jego nienawistną łaskawością i wykładami. Zrobił krok do tyłu, bez trudu ciągnąc za sobą swoją ofiarę.

I wtedy właśnie usłyszał dobiegający z dworu, z pewnej odległości, wesoły głos Ellen Warren:

— Juu-huuu!

— Do diabła! — wymamrotał pod nosem Tarig, z nagle pobladłą twarzą. Przyszła o całe pół godziny wcześniej. Nie mógł uruchomić maszyny, kiedy ona miała wejść do laboratorium. Mogłaby zobaczyć Morrisona, a to by zawaliło mały spisek, jaki przygotował dla niej, ponieważ obmyślony plan obejmował obok jego pracodawcy, również i ją.

Wtedy przyszedł mu do głowy, znajdujący się z tyłu magazyn, jedyne dodatkowe pomieszczenie wewnątrz budynku. Szarpnął gwałtownie i podniósł nieświadome ciało Morrisona, przenosząc je na próg magazynu. Wrzucił go do środka i zamknął drzwi. Zdążył jeszcze wsunąć skobel i zamknąć kłódkę, zanim na żwirze koło drzwi wyjściowych rozległy się kroki Ellen.

— **G**dzie jest Claude? — spytała, kiedy weszła, uśmiechając się. Tarig złapał z ulgą głębszy oddech.

— Gdzieś wyszedł — powiedział powoli, próbując odpowiedzieć jej uśmiechem, nie spuszczając jej z oczu. — Nie wróci tak szybko, tak więc nie musimy na niego czekać.

— Nie może być daleko — powiedziała. — Jego samochód stoi na dworze. Lepiej będzie, jak poczekamy. Zawsze był bardzo dobry dla mnie, i dla ciebie również, Karl.

— Nieco zbyt dobry, jeśli o mnie chodzi — szorstko odparł Tarig, wbrew sobie. — Nie podoba mi się sposób, w jaki odnosi się do ciebie.

— To głupie! Chodziło mi tylko o to, że jest – dobrym przyjacielem, przecież wiesz.

— No dobrze, dajmy już temu spokój. Nie ma go, mówiłem ci. Wyszedł i długo go nie będzie.

— Wyszedł? Gdzie? — dopytywała się, wyraźnie nieco zaniepokojona. Ellen nie podobało się, że Tarig jest taki szorstki. Jeszcze nigdy go takim nie widziała.

Nagle poczuł, że nie może się powstrzymać przed wyrzuceniem z siebie:

— Wyruszył w przyszłość, ty cholerna mała idiotko! — Potem, zdając sobie sprawę z tego, że powiedział trochę więcej, niż zamierzał, pośpiesznie próbował złagodzić swoje słowa: — Przecież wiesz, jak mu odbijało na punkcie tej machiny czasu, którą wynalazł. No cóż, wyruszył, żeby ją wypróbować. Powiedział mi, żebym zajął się tym wszystkim i prowadził sprawy, do czasu, kiedy ponownie się spotkamy.

Ellen popatrzyła na niego z niedowierzającą twarzą. Zrobiła szybki kroczek w bok i położyła rękę na owalnym kapturze nad podobnym do tronu fotelem Akceleratora. Maszyna była zimna.

— Kłamiesz, Karl! — zawołała. — Maszyny nie używano od wielu godzin. Wiem to! Pomagałam mu w pracach z małym modelem! Ten kot, którego wtedy użył, był mój.

Z magazynu doleciały odgłosy poruszania się i zduszony jęk.

— Jest tam! — krzyknęła Ellen, patrząc na zamknięte drzwi. — Coś mu zrobiłeś!

Tarig skoczył do niej i przycisnął ją do piersi, jakby stalową obręczą.

— No dobrze, mała. Mogę być twardy, jeśli mnie do tego zmusisz. Sama się o to prosisz. A teraz zrozum: on jeszcze nie wyruszył, ale

właśnie to robi – rusza piekielnie daleko w przyszłość. A potem my udamy się za nim, tylko nie aż tak daleko. Tak, my! Najpierw ty, a potem ja.

— Puść mnie, ty diable! — zawołała Ellen, wciskając zaciśnięte pięści między nich, niczym parę buforów, i jednocześnie kopiąc go z całą siłą, jaką była w stanie włożyć w swe ostre, małe palce.

— Spokojnie, mała — roześmiał się Tarig. To wszystko było takie proste. — Trochę bym się teraz z tobą pobawił, ale mam robotę, którą muszę się zająć. Kiedy się obudzisz, będę przy tobie. Będę miał mnóstwo forsy, a tu, dookoła nie będzie nic, tylko las. Zrobisz wtedy niezłą minę, założę się!

— Pieniądze… las? — spytała, uspakajając się z wyraźnym wysiłkiem. Grała na zwłokę, próbując wyłapać kolejne odgłosy z magazynu. Może przyjdzie stary Higgins; przechodziła koło niego w stróżówce przy bramie. Ellen wiedziała, że musi się wziąć w garść i grać swoją rolę, pomimo tego, że tak strasznie się bała. Tarig kompletnie oszalał.

— Pieniądze! — mówił Tarig. — Pomyśl o tych wszystkich platynowych zbiornikach, które są tutaj, o złocie, które Morrison trzyma w sejfie za te głupie materiały wybuchowe! Ja zmaterializuję się pierwszy, sprzedam to wszystko, zorientuję się w sytuacji w kraju i będę gotów na przyjęcie ciebie. Kiedy ty przybędziesz, mała, będziesz sama w lesie, ale ja zaraz pojawię się przy tobie.

Ellen była przerażona.

— Karl, nie zrobisz chyba czegoś aż tak głupiego! — namawiała go gorączkowo, teraz, kiedy wiedziała już, co mu naprawdę chodziło po głowie. — Jutro przyjdą tutaj ludzie, będą nas szukać, razem z policją – dowiedzą się, co się stało…

— I tu właśnie się mylisz, mała. Nie będą — wydrwił jej słowa Tarig. — Ponieważ jutro nie będzie tutaj żadnego budynku, czy Akceleratora, ani też żadnych notatek pana przemądrzałego Morrisona, mówiących jak go zbudować. Ja też mam rozum, mała. Pomyślałem o wszystkim. Trzymaj się mnie, mała, a będziesz chodzić cała w brylantach!

Obłapił ją, próbując przyciągnąć jej usta do swoich, ale udało mu się to tylko w połowie. Potem uniósł ją do góry i posadził w machinie czasu.

— Nie! — krzyknęła Ellen, wyrywając się i na wpół ześlizgując z fotela.

W odpowiedzi Tarig uderzył ją mocno i gwałtownie szarpnął, wciskając szczupłe ciało nieprzytomnej dziewczyny do niszy w maszynie.

— Wszystko będzie dobrze, cukiereczku — oznajmił kpiąco Tarig. — Teraz nie mam czasu, ale za dziesięć lat…

Podszedł do tablicy rozdzielczej. Dwa najtrudniejsze kroki na drodze do osiągnięcia bogactwa i niezależności, zostały już wykonane. Od tej chwili, była to już jedynie kwestia właściwej synchronizacji. Ustawił przełączniki na tablicy, tak jak nauczył go Morrison, i pociągnął za dużą dźwignię głównego włącznika prądu. Elektryczność popłynęła do pulpitu sterowniczego.

— Na razie, mała. Niedługo się zobaczymy — powiedział Tarig do nieprzytomnej dziewczyny. Dźwignia sterująca machiny, ustawiona była w pozycji jednej godziny. Nacisnął palcem przycisk i odskoczył do tyłu.

Usłyszał narastający jęk i zobaczył jak srebrzyste nitki żywego ognia wyskakują z maszyny, chłoszcząc leżące przed nim w fotelu ciało; dostrzegł jeszcze jak mięśnie dziewczyny zadrgały pod tym uderzeniem, a potem rozpłynęły się w powietrzu. Ellen Warren zniknęła. Udała się do roku 1950!

II
Ucieczka

Karl Tarig zanotował w myśli czas – 6:32 po południu. Dobrze się składało. Działanie maszyny zakończy się więc automatycznie o 7:32. Potem przyjdzie kolej na Morrisona. Zafunduje Morrisonowi na podróż większość nocy, przynajmniej tak z dziesięć godzin. To powinno dać cały wiek. Wystarczająco dużo, aby pogrzebać mogące go zdradzić ciało.

Przypomniał sobie o odgłosach, które dobiegały z magazynu. Morrison musiał ożyć. No cóż, i tak nic mu to nie pomoże. Tarig podszedł do drzwi od magazynu i otworzył kłódkę, próbując nie zwracać uwagi na ostry świst wibrującego Akceleratora. Ten paskudny, nieustający odgłos, jakoś działał mu na nerwy.

Otworzył jednym szarpnięciem drzwi i zajrzał do środka. Przed nim stał Morrison, chwiejąc się niepewnie na nogach, trzymając się za sine, obolałe gardło. Popatrzył przez chwilę na Tariga, a potem odezwał się, ochryple i z trudnością wypowiadając słowa:

— Słyszałem twój diabelski plan — wyrzęził.

— O, tak? I co z tego? — zadrwił Tarig i wyciągnął w jego stronę ręce.

— Chwileczkę — sprzeciwił się Morrison, z całą godnością, jaką był w stanie w sobie zebrać. — Jesteś krzepkim osiłkiem i nie dam ci rady, ale powieszą cię za to, to pewne jak amen w pacierzu! Zadbałem o to. Jutro władze będą znały wszystkie szczegóły twojego planu. I co więcej, nigdy już nie zobaczysz Ellen Warren, chyba że jako świadka w sądzie. A teraz, rób swoje, jeśli się ośmielisz!

— Możesz się założyć, że zrobię, ty nadęta mała pluskwo! — Tarig położył swoje ciężkie łapsko na ramieniu naukowca. Szarpnął nim do przodu i wypchnął z wejścia. Zaciągnął go przed szumiącą i świszczącą machinę czasu.

— Twoje groźby jakoś mnie nie martwią — chełpił się Tarig. — Zaraz jak tylko twoja mała przyjaciółeczka zakończy swą podróż, ty będziesz następny. Potem przeszukam magazyn. Policja nie znajdzie żadnych wiadomości od ciebie. A poza tym, to i tak nie ma żadnego znaczenia. Ten budynek przestanie istnieć. Wysadzę go za sobą w powietrze.

— Nie możesz wygrać tej gry, Karl — ostrzegł go ponownie Morrison, tym razem zmęczonym tonem. — Przesłałem im wiadomość.

— Taaa? A niby jak? — gniewnie rzucił Tarig. — Jedyny telefon jest w stróżówce. To był zresztą twój pomysł – ty i ta twoja prywatność!

Tarig wyciągnął zwój izolowanego przewodu i związał nim ręce i nogi Morrisona. Myślał, żeby zamiast tego go zabić, ale zdecydował się poczekać. Nie zaszkodzi, jak sobie trochę pocierpi.

— A teraz, mój drogi, najdroższy kuzynie — zadrwił. — Mam zamiar zebrać niewielki pakunek twoich cennych drobiazgów. Miałeś absolutną rację, o tym, że tajemniczo wyciekały. Sprzedawałem twoje platynowe zbiorniki do odparowywania. Są równie drogie, jak złoto. Za dziesięć lat reszta tych wszystkich cennych rzeczy z laboratorium, będzie mi bardzo przydatna.

Przeszedł się między stołami, zbierając po drodze cenne części wyposażenia i znosząc je na ciężki stół warsztatowy, stojący w dalszym rogu pomieszczenia. Tam sprasował platynowe zbiorniki na blachę, zrobił z nich zwoje i związał je razem drutem. Poszedł do sejfu i zabrał jego zawartość, robiąc z niej drugą paczkę. Zaniósł obie paki do Akceleratora i położył je obok niego na podłodze.

Czas wlókł się niemiłosiernie. W miarę działania maszyny, Tarig stawał się coraz bardziej niespokojny. Ellen strasznie długo gadała i gadała, pomyślał. Przypuśćmy, że ktoś wtedy tutaj zajrzał. Ale przecież nikt obcy nie wchodził na teren laboratorium. Tablica przy bramie głosiła „Wejście zabronione”. Był co prawda Higgins, ale Higgins poszedł już do domu.

W końcu maszyna skończyła swoje poświstywanie i wyłączyła się. Była 7:32. Tarig poczuł ulgę. Kiedy zniknie Morrison, nie będzie żadnych dowodów przeciwko niemu. Postawił bezradnego naukowca na nogi i pchnął go na fotel. Potem cofnął się o krok i wyciągnął z kieszeni złowrogo wyglądający składany nóż.

— A teraz mam zamiar…

— Nie! Zostaw go w spokoju! — doleciał do jego uszu ostry, piskliwy głos starego Higginsa.

Tarig odwrócił się błyskawicznie w stronę rozzłoszczonego starca, którego oczy płonęły lojalnym oburzeniem.

— Wystarczająco dużo już zrobiłeś dzisiejszej nocy, ale do tej pory jeszcze nie popełniłeś morderstwa, i lepiej tego nie rób. Obserwowałem cię i już ponad pół godziny temu wezwałem policję. Mogą pojawić się tutaj w każdej chwili…

— A więc, podglądałeś przez okno, ty stary, siwy capie! — ryknął na całe gardło Tarig. — Dobrze, dostaniesz więc za swoje, ty wścibski…

Chwycił ciężki metalowy tłuczek z kwartowego moździerza, stojącego na najbliższym stole i rzucił nim z całą swoją niesamowitą siłą prosto w twarz starego Higginsa. Starzec upadł do tyłu, rozchlapując krew i mózg. Tarig obrzucił jego ciało jednym, pogardliwym spojrzeniem i odwrócił się z powrotem do Morrisona.

— Brudny, stary kłamca — oznajmił. — Wczorajsza burza zerwała linię telefoniczną na moście.

Morrison spoglądał na niego z furią.

— Wóz naprawczy odjechał jakieś dwie godziny temu — zdołał wykształcić. — No dalej, bierz się do swej brudnej roboty. Popełniłeś już jedno morderstwo, a więc wiem, że przy mnie także się nie zawahasz. Ale pamiętaj, kiedy będą cię prowadzili na szafot, że to ja cię tam posłałem.

— Taaa? A niby jak? Nawet nie zbliżałeś się do żadnego telefonu — zadrwił Tarig.

— Ale miałem mały model Akceleratora — spokojnie oświadczył Morrison. — Wysłałem informacje w przyszłość.

Oczy Tariga niemal wyskoczyły mu z głowy. Pobiegł do magazynu, a po chwili przybiegł z powrotem.

— Ten mały model tam jest, ale jest spalony.

— Tak — odparł z uśmiechem Morrison. — Jest spalony.

— Przez chwilę myślałem już, że mnie masz — wyszczerzył zęby w uśmiechu Tarig, mocno spocony. Potem wpadł we wściekłość.

— No dobrze – próbowałeś! A teraz, kończmy to wszystko.

Przesunął dźwignię do końca podziałki – wiek w przyszłość. Potem mocnymi, szybkimi uderzeniami nożem podciął Morrisonowi żyły na obu nadgarstkach.

— Ustanowisz nowy rekord w powolności wykrwawiania się, drogi kuzynku. Co za niespodzianka będzie, kiedy w 2040 roku wyskoczysz nagle znikąd, cały zakrwawiony!

Nacisnął przycisk. Morrison, związany i broczący krwią pomknął w przyszłość. Wszystko co po nim pozostało, to pusty fotel, pełen srebrzystego ognia i ślady krwi na podłodze. Na zegarze była 7:44.

Tarig przysiadł na stołku i obserwował powolny ruch wskazówek zegara. Jeśli czas się ciągnął, kiedy w maszynie była Ellen, to teraz już zupełnie stanął w miejscu. Im dłużej rozmyślał o tym wszystkim, co się wydarzyło, tym bardziej robił się niespokojny. Od czasu do czasu podrywał się ze stołka i krążył po laboratorium jak szakal po klatce.

Dziesięć godzin na Morrisona! To znaczy aż do piątej… nie, niemal szóstej rano. A potem, zanim sam wyruszy w przyszłość, będzie jeszcze musiał pozbyć się ciała Higginsa. Cholerny Higgins!

Jeśli Ellen nie wróci do rana, pani Warren zacznie robić piekło. Ją również mógłby zabić, ale to spowodowałoby kolejne opóźnienie. Jego plan nie był aż tak dobrze opracowany, jak myślał. Musiał jakoś to wszystko przyśpieszyć. Być może trzeba będzie skrócić trochę czas Morrisona.

Próbował przyśpieszyć trochę upływ czasu, zajmując się przeszukaniem magazynu. Wszystko co tam znalazł, to pojemniki wypełnione butelkami i słoikami z rzadkimi chemikaliami, i stół. Pierwszy model machiny czasu stał na stole – zimny i pusty. Włókna się stopiły. Tarig szukał jakichś notatek, wiadomości, ale wszystko co znalazł, to tylko postrzępione ślady po wyrwanych pięciu pierwszych kartkach z książki inwentarzowej aparatury. Jeżeli Morrison miał te kartki w kieszeni, powędrowały w przyszłość, razem z nim.

Wzruszył ramionami i dał sobie spokój z dalszymi poszukiwaniami.

Potem zaczął coraz więcej i więcej myśleć, nad ostatnimi słowami Higginsa. Czy naprawdę zadzwonił? Czy telefon działał? Martwiło go to tak bardzo, że nie mógł się na niczym skupić.

W końcu nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Wyszedł z budynku i zszedł ze wzgórza do bramy. Minął zaparkowany samochód Morrisona i poobijanego gruchota Ellen. Auta mogą sobie tutaj stać – nie dbał o nie, jako o dowody. W stróżówce podniósł słuchawkę telefonu i przyłożył ją do ucha. Telefon był podłączony. Rzucił słuchawkę na widełki i usiadł tam, czując narastający strach. Policja naprawdę mogła być już w drodze.

Ponownie podniósł słuchawkę.

— Posterunek policji, Cartersburg? — w końcu zapytał. — Tutaj laboratorium Morrisona…

— Coś nowego? — usłyszał głos funkcjonariusza przy telefonie.

— Nie macie się czym przejmować – to tylko jakiś stary pijak. Czy dzwonił do was?

— Tak. Nasi ludzie powinni być tam lada chwila. Kim pan jest?

Tarig odłożył słuchawkę, z bladym czołem i trzęsąc się jak liść na wietrze. Ten starzec naprawdę to zrobił! Miał już właśnie zadzwonić ponownie i powiedzieć policji, że anuluje wezwanie, ale uświadomił sobie, jak głupio to zabrzmi. Jeśli byli już w drodze, no cóż, mleko się rozlało. Jedyna nadzieja, że zatrzyma ich ten objazd na moście.

Cały rozedrgany, wyszedł ze stróżówki w ciemność. Wydawało mu się, że gdzieś z oddali, dolatuje odgłos syreny. Oszalały ze strachu pomknął do laboratorium. Po chwili był już w środku, pstryknął przełącznikiem i wyłączył Akcelerator. Ciężko dysząc, popatrzył na zegar. Była właśnie dziewiąta. Jego plan już był mocno naruszony, ale przynajmniej pozbył się stąd ciała Morrisona.

Pociągnął zakrwawione zwłoki starego Higginsa i udało mu się wepchnąć je w niszę maszyny czasu. Ponownie nacisnął przycisk, ale tym razem wywołał tylko jasny rozbłysk, a potem zaległa cisza. Na głównej tablicy rozdzielczej wyleciał bezpiecznik. Pobiegł do niej, żeby go załączyć, i kiedy mijał powoli poruszające się mieszadło z detononem, przypomniał sobie, że nim również powinien się zająć.

Cały spocony, Tarig zatrzymał się i wyłączył urządzenie chłodzące, pozostawiając jednak dopływ kwasu i działające mieszadło. Pozwolił sobie na tryumfalny uśmieszek, pomagający trzymać na wodzy cały ten dziki strach – przygotował dla tych wścibskich policjantów niezłą pułapkę. Niech mają za swoje.

Ale on sam musiał również dosyć szybko się stąd ulotnić. Pacnął ręką w bezpiecznik i pobiegł z powrotem do machiny czasu. Tym razem zadziałała. Stary Higgins, tak samo jak Morrison i Ellen Warren, zniknął w przyszłości.

Jednak w chwili, kiedy jego dłoń puszczała przycisk, do Tariga doleciały nowe odgłosy z zewnątrz. Drogą nadjeżdżał samochód – a nawet kilka. Usłyszał jak chrupie żwir pod kołami, kiedy się zatrzymywały, a po chwili

głosy biegających wokół budynku ludzi. W szale strachu natychmiast zatrzymał machinę, wcisnął się na fotel, na którym umieścił wcześniej swoje ofiary. Zostało mu już niewiele czasu, ponieważ teraz słychać było już tupot nóg na stopniach przy drzwiach.

Tarig, zawsze był tchórzem i bał się nacisnąć przycisk, który miał go wyrzucić w przyszłość. To wstrząsające drżenie, srebrzysty ogień, wycie i świst całej maszynerii! Claude Morrison przeszedł jednak przez to dwukrotnie i mówił, że nic mu się nie stało. Mimo wszystko, Tarig z najwyższym trudem powstrzymywał się przed zeskoczeniem z fotela i ucieczką stąd…

— Otwierać! Otwierać! W imieniu prawa!

Tarig wpatrywał się w zdradziecką krew na podłodze. Nie. Wybór był tylko między tym i szubienicą. Przesunął dźwignię do końca i uderzył palcem w przycisk.

Światła zatańczyły wokół niego drżącymi kręgami… huk i walenie młotem w drzwi… trzask łamanych drewnianych płyt… purpurowe i zielone plamy w aksamitnej ciemności… zaczął puchnąć, puchnąć niesamowicie, rozciągać się ponad wszelką wytrzymałość, dopóki coś w środku niego nie wybuchło dzikim chaosem strzelających płomieni i dźgających rozbłysków niemożliwego do zniesienia światła… chłód, atramentowa ciemność… zapomnienie.

III
Sytuacja się wyjaśnia

— **N**ie, szefie, to nie jest możliwe — stwierdził sierżant Mullaney z Policji Stanowej. — Przeszukaliśmy każdy cal ziemi w promieniu tysiąca jardów. Nie było tam nic większego od palca. Ani żadnych śladów – Sam sprowadził swoje psy. Ciała musiały rozpaść się na kawałki podczas wybuchu, tak to sobie wyobrażam.

Podinspektor Hartridge przeniósł wzrok z twarzy Mullaneya, na znajdujące się przed nimi dymiące zgliszcza. Nie było wątpliwości, że to musiała być straszliwa eksplozja. Jej główny impet przyjęły na siebie północna i zachodnia ściana, które zupełnie leżały na ziemi. Na odległość wielu setek stóp, drzewa zostały powyrywane z korzeniami i porozrzucane jak patyczki zapałek. Pięć samochodów, kompletnie rozbitych, leżało na bokach lub dachach, co przypominało skutki działania cyklonu.

— Mówił pan, że ma pan dwóch ludzi rannych?

— Tak, sir – siedzieli w samochodach — odparł Mullaney. — W budynku nie było nikogo, przeszukaliśmy okoliczny las.

— A teraz, żebym miał zupełną jasność – zacznijmy od samego początku. — Hartridge, sztywny i poważny, wyciągnął z kieszeni notes.

Jego zimne, stalowe oczy i wąski nos, wskazywały na policjanta niestrudzonego w dochodzeniu do prawdy, zaś wąska, ponura linia zaciśniętych warg, potwierdzała ten obraz.

— Dozorca, Higgins, zadzwonił cztery po siódmej, opowiadając ekscytująca historię o asystencie laboratoryjnym – Karlu Tarigu?

Mullaney skinął głową.

— Powiedział, że Tarig wsadził dziewczynę do maszyny. Tę Ellen Warren. Powiedział również, że to jest równoznaczne morderstwu, a przynajmniej porwaniu. Czy to ma dla pana jakiś sens?

Mullaney podrapał się po głowie.

— Nie, Szefie, w ogóle. Słyszy się czasami jakieś brednie o zabieraniu ludzi w środek następnego tygodnia, ale to przecież kompletne bzdury. A ten starzec chciał dokładnie to właśnie powiedzieć – że ta maszyna zabierze ich w środek następnego roku, czy coś takiego. Mówił o porwaniu…

— Mhmmm — wymamrotał Hartridge. — Niezła uwaga techniczna, jeśli to wszystko jest prawdą. Zabranie kogoś w miejsce, w które nie chce się on udać, z pewnością można określić jako porwanie. Moglibyśmy oprzeć na tym całe oskarżenie.

— W każdym razie — mówił dalej Mullaney, — wyruszyliśmy natychmiast. To była ciężka jazda, ale byliśmy tutaj koło dziewiątej, okrążyliśmy teren, a potem wyłamaliśmy drzwi. W środku nie było żywej duszy. Znaleźliśmy tylko dwie działające maszyny. Nie śmieliśmy ich nawet dotknąć palcem, bojąc się, że wszystko wybuchnie nam w twarze.

— Czy ten Morrison był jakimś szalonym wynalazcą?

— Och, nie, panie inspektorze. Był poważnym, ciężko pracującym człowiekiem – wymyślił kilka nowych sposobów, aby robić ten fantastyczny dynamit, i podobne rzeczy. Oczywiście, dochodziły mnie słuchy, że lubił się bawić jakąś dziwną maszyną, ale o samym tym człowieku, nic szalonego.

— Proszę mówić dalej. To miejsce, po pana przyjeździe, było zupełnie puste.

— Tak, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Sprawdziliśmy. Ale na podłodze była krew, dużo krwi. To było również dziwne, ponieważ nie znaleźliśmy żadnych ciał, ani śladów, które by stąd gdzieś prowadziły, niczego.

— Morderca mógł owinąć czymś swoje ofiary i wywieźć je stąd — zasugerował Hartridge, patrząc ostro na funkcjonariusza.

— Nie ma takiej możliwości. Szefie, sam pan widział, jak miękka jest ziemia wokół budynku. Nawet szutrowa droga kończy się przy bramie. Od razu wyszliśmy stamtąd, wzięliśmy lampy i zaczęliśmy szukać. Nie było najmniejszych śladów. Jeśli jakoś stąd uciekli, to chyba helikopterem z dachu.

— Tak, tak. A więc kiedy nastąpił wybuch, wszyscy krążyliście dookoła, po lesie?

— Tak, sir. Nagle bum! Wybuch, wszystkich nas zwaliło z nóg i porozrzucało na wszystkie strony. To musiało być około wpół do jedenastej. Nawet nie wiemy. Wszystkie zegarki się potłukły.

— Spróbuję zdobyć czas z zapisów sejsmografu w mieście — krótko stwierdził Hartridge. — I co potem?

— No cóż, po jakimś czasie wróciliśmy do budynku, cały mocno płonął i nie mogliśmy nawet się do niego zbliżyć. Telefonicznie ogłosiłem alarm w dziewięciu okolicznych hrabstwach, przekazując rysopis Tariga. Jego kartoteka ma milę długości.

— Wiem o Tarigu — uciął Hartridge.

— To już wszystko — skończył Mullaney.

Hartridge zmrużonymi oczyma przyglądał się ruinom.

— Teraz wyglądają na zupełnie zimne. Weźcie się, i przeczeszcie całe to miejsce. Myślę, że coś przeoczyliście, ze strachu przed tymi maszynami.

Mullaney popatrzył na niego z oburzeniem, ale nic nie odpowiedział.

— W porządku, ludzie! — zawołał do swoich podwładnych. — Idziemy. Szukamy czterech spalonych korpusów ludzkich – czaszki też mogą być.

— **Z**upełnie czysto — zameldował Mullaney, dwie godziny później. — Temperatura była bardzo wysoka – nic nie zostało.

Hartridge zostawił raport, który szkicował w stróżówce przy bramie, i wyjrzał na zewnątrz przez obecnie pozbawione szyb okna. Było południe, ładnego, spokojnego dnia. Nie ruszał się nawet jeden listek.

— Rzucę okiem — powiedział.

Przebrnęli przez głębokie po kostki, spopielone śmieci, wchodząc na środek pogorzeliska.

— Proszę mi pokazać gdzie były te maszyny — rozkazał Hartridge.

— Ten pojemnik z cuchnącym materiałem, był mniej więcej tutaj — wyjaśnił Mullaney, wskazując na miejsce gdzie stał zbiornik mieszalnika. — W środku coś wirowało i dymiło…

— To on właśnie wybuchł — zauważył Hartridge, rozglądając się dokoła. Pnie powalonych drzew układały się promieniście wokół miejsca w którym stali. — A ta druga?

Mullaney zaprowadził go w jedyny stojący narożnik budynku i wskazał na spalone, poczerniałe resztki wystające z podłogi.

— To było na podwyższeniu – coś w rodzaju tronu, jak w Sali miejskiej w Cartersburgu. Był to fotel, z rozpostartym pokrowcem, wszędzie po nim tańczyły płomyki białego ognia i dziwnie świstał. Na fotelu jednak nie było nikogo, ale ktokolwiek został tutaj zarżnięty, musiał na nim siedzieć, ponieważ tam było najwięcej krwi.

Hartridge stał w milczeniu, przyglądając się pustym kamiennym ścianom, a potem sprawdził podłoże pod nogami. Pomiędzy stertami popiołu, leżały bryły stopionego szkła, masa poskręcanych przewodów i połamanych łupkowych płytek. To wszystko, co zostało z Akceleratora D-4.

— Te śmieci leżały w tym miejscu na wysokim stosie — wyjaśnił Mullaney, pokazując lekko do góry. — Ale, jak pan widzi, nie mogło

pozostać tu nic większego, niż odłamki kości. Oczywiście, kiedy przyjdzie tu człowiek z grabiami…

Urwał w środku zdania, z lekkim sapnięciem. Ponieważ w tej właśnie chwili, tuż nad ich głowami, pomiędzy nimi, zawisła w powietrzu zakrwawiona twarz. To był na wpół leżący, skulony człowiek, ubrany w niebieski kombinezon, poznaczony krwawymi plamami. Zaczął spadać i z miękkim plaśnięciem uderzył w ziemię, wzbijając w górę małe rozpryski popiołu. Ciało przewróciło się na bok. Twarz człowieka była straszliwie zmasakrowana, ze sterczącymi, postrzępionymi odłamkami kości czaszki w miejscu gdzie powinny być policzki i czoło.

— Mój Boże – Higgins – niech mnie diabli! — zawołał Mullaney. Obrzucił wystraszonym spojrzeniem spokojne, pozbawione najmniejszej chmurki, niebo. — To duch…

— Nonsens! — ostro rzucił Hartridge. Ale podinspektor był zmieszany, po raz pierwszy w swojej spektakularnej karierze policyjnej. Ciało było nietknięte przez ogień. Zakrwawione, splątane włosy, nieopalone. Ale z całą pewnością były to zwłoki…

— **O**koło dwóch godzin, powiedziałbym — oznajmił lekarz, wstając znad zwłok.

Hartridge gwizdnął. Gdzie było to ciało? Plamy krwi miały co najmniej piętnaście godzin. Wybuch nastąpił ponad trzynaście godzin temu. Policjanci byli w tym miejscu przez cały czas.

— Co więcej — dodał lekarz — resztki krwi zdrapane z podłogi, w pobliżu miejsca, gdzie znalazłem również resztki materii mózgowej, były tego samego typu, co jego, chociaż krew bliżej fotela jest inna.

Zmarszczył brwi. Resztki mózgu i krew pasowały do zwłok, ale dwie godziny różnicy między plamami krwi i czasem eksplozji nie dawały się wytłumaczyć. Lekarz nagle zdał sobie sprawę, że jest wstrząśnięty.

— Przynajmniej… — zaczął się wykręcać.

— Mniejsza z tym — warknął inspektor. — Ta cała sprawa, to kompletne wariactwo.

Odwrócił się i poszedł z powrotem do miejsca, w którym znajdowało się centrum eksplozji. Nagle stanął zaskoczony i pośpiesznie przetarł dłonią oczy.

— Mullaney! — ryknął na całe gardło.

— Tak jest, sir!

— Czy widzi pan to samo co ja?

Mullaney wpatrywał się z otwartymi ustami. Kołysząc się w zupełnie nieruchomym powietrzu, kilka kartek papieru powoli opadało na popioły laboratorium. Pojawiły się zupełnie znikąd, nad nimi nie było żadnego samolotu, nie mogły też zostać przyniesione przez wiatr. Jedna za drugą kończyły swój leniwy lot w powietrzu, lądując na wygasłym pogorzelisku.

Hartridge zebrał je razem i uporządkował zgodnie ze znajdującą się na nich numeracją. Były to wyrwane kartki z księgi inwentarzowej, zapisane cienkim pismem atramentem, na grubych wpisach ołówkiem kopiowym. Pierwsza strona nosiła nagłówek: „Pilne, Przekazać Policji”. Hartridge przeczytał:

Zostałem zaatakowany i przyduszony, aż do utraty przytomności, przez mego asystenta, Karla Tariga. Po odzyskaniu świadomości, stwierdziłem, że zamknął mnie on w magazynie mojego laboratorium. Słyszałem również z zewnątrz, jak groził pannie Ellen Warren.

Nie znam dokładnie szczegółów jego planu, ale zdaje się, że ma zamiar obrabować mnie, uprowadzić ją i uciec w przyszłość. Ma zamiar pozbyć się mnie, wysyłając jeszcze dalej w przyszłość, ale nie wiem czy żywego, czy umarłego. Chce również zniszczyć ten budynek, aby zatrzeć za sobą ślady. Ma zamiar odciąć chłodzenie zbiornika detononu, który obecnie się w nim miesza. Spowoduje to w ciągu paru godzin jego wybuch.

Jeśli chodzi o sposób dostania się w przyszłość, wykorzysta do tego mój wynalazek, maszynę, wyrzucającą obiekty fizyczne do przodu w czasie. Skala jest niesprawdzona, ale godzinne wystawienie na działanie maszyny, powoduje, że ciało fizyczne znika na mniej więcej dziesięć lat, po czym materializuje się w tym samym miejscu.

Planuje pojawić się w przyszłości jako pierwszy, po odpowiedniej liczbie lat, w czasie których spodziewa się, że jego zbrodnia zostanie zapomniana. Potem sprzeda platynę, którą ukradł z laboratorium, znajdzie sobie miejsce do życia i wróci tutaj, aby przyjąć pannę Warren, przybywającą wkrótce po nim. To wszystko, co wiem. Szczegóły zależą od dokładnego harmonogramu jego działań. Zgodnie z moim zegarkiem, wsadził ją do maszyny o 6:32.

Ponieważ ja także mam zniknąć, a cały budynek zostanie wysadzony w powietrze, razem z moimi notatkami i maszynami, jedynym sposobem, w jaki mogę przekazać panom tę informację, jest użycie małego modelu maszyny, zbudowanego przeze mnie wcześniej, do eksperymentów z niewielkimi zwierzętami. Jej włókna są już praktycznie zupełnie zużyte, i spali się ona niemal zaraz jak tylko się nagrzeje – w ciągu jakichś piętnastu sekund.

Ale to powinno dać wystarczający margines czasowy. Zakładam, że budynek zostanie wysadzony w nocy, a funkcjonariusze policji powinni być tu na miejscu, aby otrzymać tę wiadomość jutro, około południa.

Proszę nie odrzucać tej informacji, jako jakiegoś dowcipu, tylko z tego powodu, że pojawi się ona zupełnie znikąd, ale potraktować ją jako dowód prawdziwości tego, co w niej napisałem. Pani Warren – matka dziewczyny – może potwierdzić istnienie tego rodzaju maszyny. W jednym z eksperymentów, użyłem jej kota… Muszę kończyć. Słyszę, że Tarig idzie po mnie. Jest godzina 7:3…

— Fałszywka, szefie?

— Wygląda na prawdziwą — odparł z zamyśleniem Hartridge, składając kartki i chowając je do kieszeni. — O ile nam wiadomo, z pewnością wiedział o czym pisze.

Podinspektor Hartridge krążył niespokojnie po miękkiej ziemi wokół ruin budynku laboratorium. Podbródek opadł mu na pierś, a ręce miał zaciśnięte za plecami. Próbował dopasować x, y i z, tak by dwa plus dwa, dawało razem cztery. Dziewczyna była w środku od 6:32 do 7:30 – około godziny. Dostała więc dziesięć lat, mniej więcej. Higginsa mógł wykreślić z równania. Starzec nie mógł zajmować maszyny dłużej, niż przez kilka sekund. Pozostały jeszcze trzy godziny. Jak zostały one podzielone między dwóch ludzi?

Chwila zastanowienia pozwoliła mu to określić, w przybliżeniu.

— Mullaney! — zawołał Hartridge, gwałtownie się zatrzymując i ponownie obejmując dowodzenie. Policyjny fotograf składał właśnie swój statyw, przygotowując się do odjazdu.

— Kiedy koroner skończy z Higginsem, niech pan każe go pogrzebać — rozkazał Hartridge. — Nie będzie mi już więcej potrzebny. Potem może pan zabrać swoich ludzi z powrotem do Cartersburga. Na razie to już wszystko co mogliśmy zrobić.

— Poddaje się pan, szefie?

Hartridge chłodno popatrzył na sierżanta policji stanowej.

— Czy ja kiedykolwiek się poddałem? — zapytał stalowym tonem. — Wszystko, co mi jest potrzebne do rozwiązania tej sprawy, to długie życie. Ale niezależnie, czy tego dożyję, czy nie, Karl Tarig zapłaci za to co zrobił!

— Chce pan powiedzieć, że może pan dopaść człowieka, który zniknął bez śladu, zabierając ze sobą wszystkich świadków?

— Równie dobrze mógłby już leżeć na stole sekcyjnym w kostnicy — warknął Hartridge.

IV
Zapomnienie

Karlowi Tarigowi wydawało się, że nie minęła nawet chwila, kiedy ponownie otworzył oczy. Zerwał się gwałtownie, popychany ciągle świeżym wspomnieniem swojej szaleńczej paniki, ale zamiast walenia do drzwi laboratorium, usłyszał tylko głuchy huk zbelowanych arkuszy blachy platynowej, spadających mu z kolan na podłogę. Nawet pomimo ślepego strachu, chciwość go nie opuściła. Odruchowo chwycił swój łup, sięgając do wyłącznika maszyny.

Wtedy, z oddali doleciał do niego dźwięk łagodnie brzmiącego gongu. Było to zastanawiające. W laboratorium nigdy nie było gongu. I wtedy uświadomił sobie z zaskoczeniem, że przecież w ogóle nie powinno tu być żadnego laboratorium, ani Akceleratora. Wszakże wszystko wyleciało w powietrze, po jego wyruszeniu w przyszłość. Powinien znaleźć się na

dworze, w trawie, otoczony najwyżej resztkami poprzewracanych kamiennych ścian.

A jednak laboratorium ciągle istniało. Było lato, przez okna wlewały się jasne strumienie światła słonecznego. Jedyną różnicą był brak stołów warsztatowych, na miejscu których stało wiele płaskich, szklanych gablot, wypełnionych jakimiś niewielkimi rzeczami. To miejsce wyglądało jak muzeum! I zdawało się być bardzo ciche i opuszczone.

Spojrzał w górę i stwierdził, że wisząca nad nim owalna lampa kwarcowa, zniknęła. Nad jego głową było pusto. A on nie siedział w podobnym do tronu fotelu Akceleratora, tylko na stołku o sprężystym siedzeniu. Stał on na podwyższeniu, o dwa stopnie ponad resztą pomieszczenia, odgrodzonym jedwabistymi sznurami, zawieszonymi na jasnych, mosiężnych stojakach.

Ze sznurów, w miejscu z którego prowadziły stopnie, zwisała tabliczka ale odwrócona była do niego tyłem i nie widział, co jest na niej napisane. Odnosił niepokojące wrażenie, że został tutaj umieszczony jako eksponat muzealny – podobnie jak jakaś egzotyczna ryba w akwarium, czy osobliwy rekwizyt w galerii sztuki.

Tarig zerwał się na nogi, a kiedy to robił dziwny dźwięk odległego gongu, ucichł. W tej samej chwili siedzenie stołka podskoczyło do góry i uderzyło go w plecy. Odwrócił się i nacisnął je. Gong znowu zaczął dźwięczeć!

Krople potu spłynęły z twarzy Tariga, a ręce zaczęły mu lekko drżeć. Puścił siedzenie – gong ucichł. Przycisnął je – gong zabrzmiał ponownie. A więc jedno z drugim było jakoś powiązane! Przeraziło go to. Poczuł się jak dzikie zwierzę złapane w pułapkę.

Rzucił się naprzód, ku stopniom, ale uderzył w jakąś przeszkodę, której nie widział. Uderzył się mocno, cios niemal go znokautował. Oszołomiony wyciągnął przed siebie rękę – i natknęła się ona na gładką, śliską płaszczyznę, twardą i niewidzialną. Był zamknięty za jakimś szkłem, którego nie było widać!

Szaleńczo i z jękiem rozpaczy, Tarig machnął ciężką belą platyny, uderzając nią w niewidoczną ale tak namacalną barierę. Jedynym efektem było to, że silnie odbicie wyrwało mu pakunek z dłoni. Skoczył sam do przodu i zaczął macać rękoma. Zamknięty był z dwóch stron przez niewidoczny ekran. Ciągnął się on aż do znajdujących się z tyłu kamiennych ścian.

Tarig błyskawicznie się odwrócił, mając nadzieję, że znajdzie w nich jakieś okno. Tak naprawdę wiedział jednak, że go tam nie ma. Wtedy ogarnęła go prawdziwa panika, panika przy której jego poprzedni strach wydawał się zwykłą zabawą. Na wprost jego oczu, wisiała rzucająca się w oczy brązowa tablica, taka jaką zakładało się na pomnikach. Lśniący napis na niej, głosił:

W TYM MIEJSCU ZBUDOWANO
PIERWSZĄ MACHINĘ CZASU.
STWORZYŁ JĄ CLAUDE MORRISON
KRÓRY DOKONAŁ PIEWRWSZEGO

UDANEGO DŁUŻSZEGO SKOKU
W CZASIE Z SIERPNIA 1940
DO LISTOPADA 1953.

AŻ DO CHWILI POJAWIENIA SIĘ TUTAJ
MORDERCY KARLA TARIGA,
UCIEKINIERA Z 1940 ROKU,
MIEJSCE TO JEST NIEDOSTĘPNE
DLA PUBLICZNOŚCI

Schwytany w pułapkę!

Krew Tariga zastygła w żyłach, kiedy czytał te straszliwe słowa. 1953! A więc, musiał znaleźć się dalej, niż w 1953. Przestrzelił więc co najmniej o cztery lata. Ellen przybyła przed nim… to ona musiała go wydać, podła suka! Powinien ją także zabić. Powinien wiedzieć, że nie można ufać kobiecie! Ale Morrison? Dokonał „udanego… skoku", jak głosiła tablica. Jakim cudem naukowiec mógł przeżyć? Ogarnięty szałem Tarig obracał się we wszystkie strony, rozglądając się dzikim wzrokiem.

Przyglądał mu się jakiś przygarbiony starzec, opierający się na lasce. Mierzył go lekko zaciekawionym pozbawionym strachu spojrzeniem, jakim spogląda się na dziwacznego owada złapanego w słoik. Starzec miał na sobie niebiesko-szary mundur, podobny do uniformów noszonych przez strażników w muzeach. Tarig stanął przed niewidoczną taflą szkła, awanturując się i rycząc, aby go wypuszczono. Starzec pokręcił przecząco głową, z boku na bok. Tarig widział, że porusza wargami, ale przez tajemniczą barierę nic nie było słychać.

— Nie odchodź, ty stary głupcze! — wrzasnął Tarig, widząc, że starzec odwraca się i ma zamiar się oddalić. — Nic ci nie zrobię. Wypuść mnie tylko, a obiecuję ci, że ci dobrze zapłacę…

Starzec jednak powoli przemierzył pomieszczenie i usiadł w wygodnym fotelu, którego Tarig wcześniej nie zauważył. Siedział tam, niewzruszenie przyglądając się uwięzionemu mordercy. Potem, na jego poznaczonej wiekiem twarzy, pojawił się pogodny uśmiech i starzec spokojnie złożył ręce na swoich kościstych udach.

— Śmiejesz się, niech cię diabli! — wrzeszczał rozwścieczony Tarig, uderzając pięściami w niewidoczną barierę. — Przestaniesz się śmiać, kiedy wyjdę…

Otworzyły się drzwi. Do pomieszczenia weszło dwóch ponuro wyglądających mężczyzn, ubranych dokładnie tak samo, w strój z kiltem. Obaj mieli lśniące metalowe napierśniki i mocno dopasowane stalowe hełmy, zwieńczone grzebieniami z wytłoczonymi złotymi orłami. W rękach trzymali niewielkie pałeczki, zakończone srebrnymi gałkami. Jeden z nich otworzył metalową szafkę, która wisiała na ścianie, i nacisnął znajdujący się w niej przełącznik. Drugi stanął u podnóża schodków, spoglądając

twardo na Tariga. Karlowi Tarigowi nikt nie musiał mówić, kim byli ci ludzie – znał dobrze podobnych do nich. Ubrani może inaczej, ale ci ludzie byli policjantami – gliniarzami z przyszłości!

— No dobrze, proszę pana. Niech pan zejdzie na dół. Powstrzymujący pana ekran został wyłączony. Proszę zachowywać się spokojnie, nie chcemy panu zrobić krzywdy.

Tarig był jakby sparaliżowany, ledwie zdołał zejść po schodkach.

— Proszę wyjść na zewnątrz — szarpnął go drugi, przechodząc, żeby zabrać platynę.

Tariga wepchnięto na tylne siedzenie pojazdu, wyglądającego jak pozbawiony skrzydeł samolot. Dwóch gliniarzy wsiadło na przód. Po ciele Tariga rozszedł się paraliż, unieruchamiający wszystkie mięśnie, poza oddechowymi i sercem.

— Zdaje się, że w pańskich czasach, ciągle jeszcze używano kajdanek. Aby zaoszczędzić panu czasu, powiem tylko, że nie ma sposobu na wyswobodzenie się spod promienia unieruchamiającego. Odpalaj, George.

George odpalił. Z wciskającym w fotele przyśpieszeniem, George ruszył maszyną w górę, pod kątem pięćdziesięciu stopni, śmigając przez powietrze na poziom czterystu stóp. Od tej chwili żaden z funkcjonariuszy nawet nie odwrócił się, by rzucić spojrzeniem na więźnia. Kuląc się ze strachu, Tarig ledwie widział wspaniały wiejski krajobraz, rozciągający się w dole, nie zauważając też kiedy zaczęli się ześlizgiwać, ponad willowymi rezydencjami, otaczającymi skraj wielkiego miasta.

Minęło zaledwie dziesięć minut, kiedy maszyna lekko usiadła na dachu jakiegoś ogromnego budynku. Policjanci sprawnie wysadzili więźnia i zaprowadzili go do windy. Winda spadła jak kamień, i następną rzeczą, z której Tarig zdał sobie sprawę, było to, że jest prowadzony przejściem między siedzeniami w ogromnej sali sądowej.

Przed nim, za stojącym na podwyższeniu biurkiem, siedziało pięciu poważnych sędziów, których ciemne ubiory stanowiły dziwaczny kontrast dla panującej w sali bieli i złota. Sędzia pośrodku, wstał.

— Karlu Tarig, zostałeś uznany winnym popełnienia szeregu ohydnych zbrodni…

Uznany za winnego! Wydawało się, że minęła zaledwie mniej więcej godzina, od chwili kiedy zostały one popełnione!

— …ale zanim zostanie ogłoszony wyrok, masz prawo poznać wniesione przeciwko tobie oskarżenie. Dyrektorze Bezpieczeństwa Narodowego Hartridge, proszę niech pan podejdzie.

Tarig skrzywił się. Znał Hartridge'a ze swej kryminalnej przeszłości.

Jego widok stał się jednak przyczyną kolejnego wstrząsu. Wysoki, surowy człowiek, który stanął naprzeciw niego, mógłby być może ojcem Hartridge'a, ale z pewnością nie nim samym. Był lekko przygarbiony, a włosy miał zupełnie białe.

— Tarig — zaczął Hartridge, — myślałeś, że jesteś sprytny, ale nigdy w całej mojej policyjnej karierze nie widziałem tak głupiej zbrodni, tak

bezmyślnej próby ucieczki. W wyniku tego, dowody przeciwko tobie są przytłaczające, a aresztowanie cię, było dziecinną igraszką.

— J-jak? — wyjąkał Tarig, zupełnie oszołomiony. Jego plan był przecież taki doskonały!

— Twoim pierwszym błędem, było przeoczenie małego modelu maszyny. To pozwoliło doktorowi Morrisonowi wysłać nam wiadomość z ostrzeżeniem, która pojawiła się następnego dnia. Z niej dowiedzieliśmy się o twoich groźbach względem panny Warren – kolejny błąd. Jeszcze gorszym była twoja krwiożerczość. Za mniej więcej dziesięć minut zostaniesz stracony za zamordowanie Higginsa.

— Ale ja tego nie zrobiłem! — wrzasnął Tarig. Po chwili, bardziej wyzywająco: — Nie jesteś w stanie tego udowodnić – żadna istota ludzka…

— Już to udowodniliśmy — spokojnie oświadczył Hartridge. Popatrzył zimno na więźnia, a następnie nieubłaganie mówił dalej.

— Na podstawie czasów, jakie miałeś do dyspozycji i charakterystyki maszyny, wiedzieliśmy, że panna Warren zmaterializuje się jako pierwsza. Oraz mniej więcej, kiedy to się stanie. Dziewięć lat po tej straszliwej nocy, ustanowiliśmy posterunek polowy na miejscu zbrodni i czekaliśmy. Pojawiła się tam po niecałych dwu latach, co wskazuje, że siła działania Akceleratora, była nieco większa, niż sądził jego wynalazca.

— Na podstawie tego przypadku, oceniliśmy, że miną kolejne dwa lata, zanim będziemy mogli odzyskać doktora Morrisona, ale kiedy panna Warren powiedziała nam, że prawdopodobnie zmaterializuje się on w stanie zagrożenia życia, podjęliśmy znacznie poważniejsze środki ostrożności. Przy jej pomocy, dokładnie w miejscu, w którym zniknęły ciała, umieściliśmy leżankę i utrzymywaliśmy w dzień i w nocy dyżury lekarskie.

— Okazało się, że postąpiliśmy słusznie, ponieważ kiedy doktor Morrison się pojawił, mocno krwawił z zadanych przez ciebie ran…

— To kłamstwo! — zawył Tarig. — To wszystko to rzeczy trzeciorzędne. Nie możecie…

Zakrztusił się i przerwał. Hartridge z surową i kamienną twarzą wskazywał na mężczyznę i kobietę, stojących u jego boku. Powoli Tarig przesunął na nich wzrok. To był Claude Morrison, który zupełnie się nie zmienił i spoglądał na niego poważnym wzrokiem – oraz trzymająca go za ramię Ellen Warren!

— Natychmiast, kiedy było to możliwe — mówił dalej Hartridge, ze śmiertelną jednostajnością, — zebraliśmy w tym miejscu sąd i przeprowadziliśmy rozprawę…

— Protestuję — wyjęczał Tarig, a większość z jego tupetu zniknęła. — Byłem nieobecny!

— Och, nie. Nie byłeś — odparł Hartridge. — Żaden z więźniów w historii, umieszczony w najmniejszej nawet celi, nie był tak mocno przyszpilony do położenia w trzech wymiarach, jak ty. Wiedzieliśmy co do cala, gdzie jesteś. Brakowało nam tylko informacji kiedy się pojawisz.

— W miarę jak maszyna się rozgrzewała, działała z większą mocą, tak więc wiedzieliśmy tylko, że kiedyś, pewnego dnia się pokażesz – nie

potrafiliśmy jednak określić kiedy, nawet z dokładnością do kilku lat. Aby uniknąć marnowania czasu naszych policjantów, na bezsensowne pilnowanie takiego mordercy, jak ty, skonstruowaliśmy pułapkę, którą widziałeś. To była bardzo prosta sprawa – rozstawiliśmy ekran powstrzymujący i siedzenie ze sprężyną. Zaś ciężar twojego ciała miał zamknąć obwód, kiedy zmaterializuje się ono na tym siedzeniu. Obwód ten włączał gong, ostrzegający dozorcę, oraz uruchamiał alarmy na wszystkich okolicznych posterunkach policji.

— Twoim prawem jest teraz odsłuchanie protokołów zeznań, jeżeli tego sobie życzysz — zakończył Hartridge.

Tarig popatrzył na smutne oczy Claude'a Morrisona i przepełnione przerażeniem oczy dziewczyny, obecnie była już ona dojrzałą kobietą – dziewczyny, którą miał zamiar zrujnować. Zadrżał, a potem zwiesił ponuro głowę.

— Pomińmy to — wymamrotał.

— To nie jest przyjemne — sucho zauważył Hartridge. Popatrzył na stojącą przed nim żałosną, wystraszoną postać, ze sporym niesmakiem. — Do dziś minęło dziesięć lat od rozprawy. Jestem już stary i mam zamiar odejść na emeryturę, cieszę się jednak, że twoje pojawienie się, zamyka ostatnią niezakończoną sprawę, jaka znajdowała się na moim biurku.

— Zabrać go — ktoś powiedział i oszołomiony, skołowany Tarig, został poprowadzony w stronę czarnych drzwi oznaczonych tylko przez pojedynczą białą trupią czaszkę. Była to komora straceń z 1963 roku!

Umarł, nie wiedząc, że doktor Claude Morrison i Ellen Warren, którzy czekali przez całe dziesięć lat na jego powtórne pojawienie się, następnego dnia mieli się pobrać. Umarł dwadzieścia trzy lata po swoich ostatnich zbrodniach, ale dla Karla Tariga miało to miejsce zaledwie trzy godziny później.

Wiedział tylko, że umiera straszną śmiercią, ponieważ jego udręka umysłowa była wręcz nieopisana. Ale jednak nie był to ból fizyczny.

Złowrogie czarne drzwi stanowiły wejście do małego szarego pomieszczenia, w którym Karl Tarig został zupełnie sam. W rogu pokoju stało niewielkie krzesło. Tarig opadł na nie bezwładnie i zatopił twarz w dłoniach.

Wkrótce zdał sobie sprawę, że słyszy wesołe śmiechy, a potem ekran na przeciwległej ścianie rozjaśnił się i pojawił się na nim film. Była to radosna scena – obrazek z meczu baseballowego, na którym tysiące ludzi ryczy ze śmiechu z figli dwu żartownisiów baseballowych, a ich koledzy z drużyny stoją wokoło, także roześmiani od ucha do ucha.

Tarig zajęczał na ten widok. Baseball był jedną z niewielu rzeczy, z których czerpał prawdziwą przyjemność…

Potem sceneria się zmieniła. Tym razem, była to duża restauracja, z tańczącymi na parkiecie parami i kelnerami śpieszącymi do stolików z tacami pełnymi przysmaków.

Tarig znowu zajęczał i poczuł zupełną pustkę w żołądku. Tylko parę razy w życiu miał na tyle dużo pieniędzy, że mógł sobie pozwolić na wystawną kolację…

Na filmie rozbłysła nowa scena. Był to cudowny dzień i pod bezchmurnym niebem gładkie konie czystej krwi ścigały się dla pieniędzy i zaszczytów. Na głównej trybunie tłoczyły się tysiące elegancko ubranych ludzi, zaś setki chętnych rejestrowało swoje zakłady w maszynach hazardowych. Stojąca naprzeciw trybuny tablica totalizatora obwieszczała wygraną 12 do 1 w poprzedniej gonitwie.

Tarig cały zadrżał. Ale kiedy z ukrytego głośnika rozległ się uroczysty głos, zerwał się, pokryty zimnym potem.

— Karlu Tarig — zaintonował głos. — Oto są proste przyjemności świata na zewnątrz. Przyjemności, których tobie się odmawia, teraz i na zawsze. Ty sam zdecydowałeś się złamać prawa ludzkości; ty sam zdecydowałeś, że zwykła przyzwoitość i uczciwa praca są dla „frajerów", jak kiedyś głośno – i bezmyślnie – wykrzykiwałeś. Ale to ty, Karlu Tarig jesteś frajerem…

— Przerwijcie to! — wrzasnął Tarig, podbiegając do drzwi i bębniąc pięściami w nieustępliwą stal. — Przerwijcie to, nie wytrzymam tego już dłużej! Byłem głupcem… Nigdy już tego nie zrobię… O Boże, dajcie mi tylko jeszcze jedną szansę, proszę dajcie mi… Oooch!

Niewielkie, szare pomieszczenie zapłonęło nagle feerią trzeszczących wyładowań elektrycznych. Skwierczące białe rozbłyski dotarły do każdego jego zakamarka. Objęły Karla Tariga śmiertelnym uściskiem.

W chwilę później błyskawice znikły. Znudzony strażnik otworzył z szarpnięciem małe drzwi. Wiedział, że w środku niczego nie będzie. Kichnął tylko, kiedy powiew wywołany przez otwierające się drzwi poniósł w powietrzu odrobinę szarego pyłu.

KONIEC